

STEFAN ŻEROMSKI

SZYFOWE PRACE

K Kolorowa
Klasyka





Stefan Żeromski
Szyfowe prace

Ilustracje:
Wojtek Świerdzewski
Marek Hlavac/Shutterstock.com

Redakcja:
Agnieszka Antosiewicz

Korekta:
Agnieszka Antosiewicz, Maria Zagnińska

© Copyright for this Edition by Wydawnictwo GREG® Sp. z o.o.

Kraków 2025

ISBN 978-83-7517-883-8

Wydawnictwo GREG®
ul. Klasztorna 2B
31-979 Kraków
tel. 12 680 15 50
www.greg.pl

Księgarnia internetowa: www.greg.pl

Znak firmowy GREG® zastrzeżony w Urzędzie Patentowym RP.
Wszystkie prawa zastrzeżone.
Żadna część niniejszej publikacji nie może być reprodukowana
lub przedrukowana bez pisemnej zgody Wydawnictwa GREG®.

Okładka:
Aleksandra Zimoch
Wykorzystano zdjęcia:
Evgeny Milkovich, Olly, Triff/Shutterstock.com

Skład i łamanie:
Pracownia Register

I

Termin odstawienia Marcina do szkoły przypadł na dzień czwarty stycznia.

Obydwoje państwo Borowiczowie postanowili odwiedzić jedynaka na miejsce. Zaprzężono konie do malowanych i kutych sanek, główne siedzenie wysłano barwnym, strzyżonym dywanem, który zazwyczaj wisiał nad łóżkiem pani, i około pierwszej z południa wśród powszechnego płaczu wyruszono.

Dzień był wietrzny i mroźny. Mimo to jednak, że szczyty wzgórz kurzyły się nieustannie od przelatującej zadymki, na rozległych dolinach, między lasami, zmarznięte pustkowia leżały w spokoju i prawie w ciszy. Szedł tylko tamtędy zimny przeciąg, wiejąc sypki śnieg niby lotną plewę. Gdziekolwiek wałęsały się nad zaspami smugi najdrobniejszego pyłu jak dymek przyduszonego paleniska.

Chłopak siedzący na koźle, podobny do głowy cukru opakowanej szarą bibułą, w swym śpiczastym baszłyku¹, który w tamtych okolicach od dawien dawna uległ nostryfikacji² i otrzymał swojską nazwę *maślocha*, i w brunatnej sukmanie – mocno trzymał lejce garściami ukrytymi w niezmiernych rękawicach wełnianych o jednym wielkim palcu.

Konie były wypoczęte, nie chodziły bowiem od pewnego już czasu do żadnej ciężkiej roboty, toteż pomykały, parszcząc, ostrego klusa po ledwo przetartej, a już znowu na pół zadętej drożynie, i sucho, jednostajnie trzaskały podkowami o nadmarzniętą zwierchnią skorupę śniegu.

Pan Walenty Borowicz ćmił fajkę na krótkim cybuszku, wychylał się co kilka minut na bok i przyglądał uważnie już to sanicom, już to migającym kopytom. Wiatr go chłostał po zaczerwienionej twarzy i on to zapewne wyciskał owe łyzy, które szlachcic ukradkiem ocierał.

Pani Borowiczowa nie siliła się wcale na maskowanie wzruszenia. Łzy stały bez przerwy w jej oczach skierowanych na syna. Twarz ta, niegdyś piękna, a w owej chwili wyniszczona już bardzo przez troski i chorobę piersiową, miała niezwykle wyraz namysłu czy jakiejś głębokiej a gorzkiej rozważi.

Malec siedział „w nogach”, tyłem do koni. Był to duży, tęgi i muskularny chłopak ośmioletni, z twarzą nie tyle piękną, ile rozumną i miłą. Oczy miał czarne, połyskliwe, w cieniu gęstych brwi ukryte. Włosy krótko przystrzyżone „na jeża” okrywała barankowa czapka wciśnięta aż na uszy. Miał na sobie zgrabną

¹ *baszłyk* – nakrycie głowy, kaptur z długimi końcami do wiązania wokół szyi.

² *nostryfikacja* – tu żartobliwie: prawo obywatelstwa.



– Cicho bądź!...

Nauczyciel miał na sobie rude i mocno zniszczone palto z wystrzępionymi dziurkami od guzików i guzikami rozmaitego pochodzenia, na nogach grube buty, a na długiej szyi wełniany szalik w prążki czerwone i zielone. Szerokie, żółtawe wąsy, od czasów we mgle przeszłości leżących, nie podkręcane do góry, zakrywały usta pana Wiechowskiego jak dwa strzępy sukna. Palcami prawej ręki, powalnymi atramentem, z gracją i kokieterią odgarniał z czoła spadające promienie włosów i rozkopywał śnieg szastając po nim nogą w nieprzerwanych ukłonach. Zwiędła i zastygła twarz jego marszczyła się w uśmiechu czołobitności, który czynił ją podobną do maski.

O wiele śmieiej zbliżała się do sanek pani nauczycielowa. Była to kobieta przystojna, choć nieco za wielka i za otyła. Miała oczy przykryte szafirowymi okularami. Te wielkie okulary natychmiast i bardzo źle usposobiły dla niej Marcina Borowicza. Nie wiedział, czy ta pani w danym momencie patrzy na niego i, co najważniejsza, czy ona w ogóle go widzi. Drogą dziwnego skojarzenia wrażeń prędko wykombinował, że nauczycielka podobną jest do ogromnej muchy.

– Powitać, powitać! – wołała szepleniąc pani Wiechowska i poczęła wysadzać z sanek matkę Marcinka.

– Jakże zdrowie? – zapytał nauczyciel gwałtownym sposobem i nie wiedzieć kogo, ani na chwilę nie przestając uśmiechać się jednostajnie.

– Powitać kawalera! – mówiła coraz śmieiej i głośnieiej nauczycielowa, teraz już specjalnie do Marcina. – Cóż, były d u d y? Pewno były, ejże!...

– Cóż to za dudy, mamó? – szepnął kawaler przez zęby.

– Jakże zdrowie? – wypalił znowu nauczyciel, mocno zacierając ręce.

– A no, otóż i jesteśmy! – rzekł ze swobodą pan Borowicz. – Dudy? było tam tego trochę, ale, chwalić Boga, niewiele, niewiele.

– Spodziewam się, proszę pana dobrodzieja – rzekła nauczycielka tonem wysoce dydaktycznym – spodziewam się... Marcinek powinien to rozumieć – mówiła z rosnącym uczuciem i rozdymając nozdrza – że rodzice i cała familia oczekują po nim wiele, bardzo a bardzo wiele! Powinien to rozumieć, że musi stać się nie tylko pociechą rodziców w sędziwej starości, podporą ich lat zgrzybiałych, ale i chlubą...

Ten wyraz „chlubą” wymówiła ze szczególnym namaszczeniem.

– A, naturalna rzecz! – zakończył nauczyciel zwracając się do pana Borowicza z takim wyrazem twarzy, jakby pytał:

„No, a może by tak kieliszeczek szpagaterii⁵?”

– Czymkolwiek Marcinek zostanie – mówiła nauczycielka coraz płynniej, brnąc po śniegu do sieni, a stamtąd wprowadzając gości do mieszkania – czy to obywatelem ziemskim, czyli też kapłanem, czy sekretarzem gminnym albo

⁵ szpagateria – (zartobliwie): wódka.







Matka Marcinka nie mówiła tym językiem, a bała się obrazić profesora, jeżeli zacznie mówić po polsku, toteż jęła wykladać mu swą prośbę po francusku, z mozołem wymawiając zdania i zwroty dawno zapomniane.

Pan Majewski z wdziękiem usiadł na pobliskim fotelu, nastawiał mimowiednym ruchem swe ciemnoniebieskie binokle, otwierał przy tej sposobności nieznacznie usta, ale nie zdawał się rozumieć, o co rzecz idzie.

Wkrótce też spytał po polsku z przeciąganiem i akcentowaniem z ruska wyrazów, aczkolwiek dopiero przed dwoma laty został Rosjaninem, nigdy w Rosji nie był i z granic guberni klerykowskiej zamieszkaanej przez samych Polaków (ze znaczną domieszką żydowską) ani razu nie wyjechał:

– Otóż, chodzi tutaj o tego młodzieńca... t a k l i?...

– Tak, panie profesorze – mówiła teraz jednym tchem pani Borowiczowa – pragnęłabym oddać go do klasy wstępnej. Uczył się na wsi, w szkole elementarnej. Czy jest przygotowany... tego właśnie osądzić nie jestem w stanie. Dlatego też śmiem prosić pana profesora, czyby nie zechciał przygotować go jeszcze nieco, zanim egzamin... Z pewnością kilka lekcji udzielonych przez takiego jak pan profesor pedagoga więcej go oświeci niż pół roku nauki w szkole wiejskiej...

– No, cóż znowu? – zawołał pan Majewski z satysfakcją kierownika klasy, wprawdzie tylko wstępnej, aleć zawsze w gimnazjum, który jeszcze parę lat temu był nauczycielem szkółki elementarnej w jakiejś Kiernozji.

– Jestem najmocniej przekonana, że tak jest... Gdyby tylko pan profesor raczył zwrócić na mego syna uwagę...

– Widzi pani – przerwał pan Majewski – masa kandydatów... Nie wiem, co on umie, czy to się na co przyda...

– Panie profesorze...

Pan Majewski uprzejmym gestem przerwał pani Borowiczowej i zadał Marcinowi kilka pytań rosyjskich z zakresu arytmetyki, gramatyki itd. Wysłuchawszy jego względnie dobrych odpowiedzi wsparł czoło na ręce i przez kilka chwil coś głęboko rozważał.

– Panie... – szepnęła ze drżeniem matka kandydata.

– Tak... Jeżeli pani sobie życzy, mogę dać małemu kilka lekcji. Czy zda... tego, rozumie się, przewidzieć niepodobna...

– Źle jest przygotowany?

– Nie to, żeby źle, owszem, na ogół biorąc... Ale, widzi pani, wymowa, akcent, to, czego jakiś korepetytor, jakiś belfrzyna na wsi wpoić nie jest w stanie, bo sam tego nie posiada... System, widzi pani, wymaga, to jest... akuratannej wymowy, a tego... nie ma. Wszyscy w tych stronach mówią w domu po polsku, rodzice... więc też i dzieci nie mogą mówić dobrze. A system, pojmuję pani, wymaga tej, że tak powiem – akuratannej wymowy.

Ktoś z lekka zapukał do drzwi. Profesor poruszył się niecierpliwie, jakby na znak, że sprawa jest wyczerpana.





Chwila ta była istną katuszą dla pani Borowiczowej, gdyż należało przystąpić do kwestii zapłaty, uskutecznić ją stanowczo, dyplomatycznie i z całym mistrzostwem grzeczności.

– Będę – rzekła – nieskończenie panu profesorowi wdzięczna za tę istotną łaskę... Czy mogłabym od razu teraz uiścić się z należności za te lekcje? Zapewne wypadnie mi w tych dniach odjechać i dlatego tylko trudzę pana...

– O to... tego... Biorę zwykle po trzy ruble za godzinę. Mam tutaj kilkunastu chłopców, których również przygotowuję. Od nich biorę w tym stosunku...

– Mam nadzieję, że wystarczy jeszcze czasu na jakie osiem lekcyj. Władza tak zwleka... – rzekła pani Borowiczowa z rodzajem łaskawej i uprzejmej wymówki. – Dla nas zaśniedziałych po wsiach jest to właściwie dobrodziejstwo, gdyż możemy przy sposobności używać miasta, ale za to nasze role i gumna...⁷³ Oto jest dwadzieścia pięć rubelków...

⁷³ *gumno* – część podwórza w gospodarstwie rolnym mieszcząca stodoły, spichrze, sterty zboża.









wstępu w progi jej domu. Co więcej, zerwała wszelkie węzły z rodziną, spaliła wszelkie mosty, wypowiedziała własnej nacji wojnę scytyjską²¹⁸. Uczyniła to bez wahania, posłuszna wewnętrznemu głosowi sprawiedliwości, ale życie swe przez to samochcąc zepsuła, a radość, zadowolenie i spokój z korzeniem zeń wyrwała.

Nie było z pewnością w mieście Klerykowie drugiej kobiety, która by postępowała w sposób równie obywatelski jak pani Stogowska, która by każdy krok stawiała tak rozumnie, tak rozważnie i tak śmiało, ale nie było tam ani jednej, która by żywiła w sercu podobnie bezbożny wstręt do tego świata, do jego urzędzeń i do samego życia. Jedynym krajem, gdzie myśl jej mogła na chwilę wychnąć, były wspomnienia czasów dzieciństwa, ale tam zakazała sobie chodzić. Czuła przecież, że główną przyczyną upadku męża jest ona, i to dlatego jedynie, że jest Rosjanką.

Gdy się stała Polką i wydarła ze siebie wszystko, co rosyjskie, aż do reminiscencji²¹⁹ i upodobań, przychodził pop i zabierał dzieci, ażeby je uczynić Moskalam. Miłość dla męża, nie wiedzieć jakim sposobem, stawała się źródłem zła; dzieci urodzone z tej miłości przychodziły na świat ze stygmatem przekleństwa. Byli to wrogowie ich ojca, wrogowie jej samej, wrogowie samych siebie. Pragnąc zniweczyć i zmasać ten straszliwy grzech pierworodny dokładała wszelkich starań, żeby uczynić z nich Polaków, sączyła w ich dusze nienawiść do tego wszystkiego, co w tajemnicy kochała przecie, a mimo wszelkie trudy czytała codziennie w oczach męża wyraz wiecznego i głuchego żalu...

Nadszedł czas, że życie stało się dla niej katuszą nie do zniesienia. Zalaął się w sercu skryty jad, tęsknota za czymś, a Bóg wie za czym, tęsknota jak pies nasycony wiecznie gryząca. Nie było takiej kryjówki, takiego zaułka i schowania w duszy, gdzie by się przed nią skryć było można. Jak mała i słaba mucha, która lekkomyślnie siadła na żelaznych szynach i pod kołami lecącego pociągu straciła skrzydła i nogi, wlokła swe życie ze zmiażdżonym sercem, ciągle pełzając wzdłuż tej samej drogi.

Aż do śmierci...

Rozchorowała się na zapalenie płuc i prędko zgasła przeżywszy ledwie lat trzydzieści parę. Panna Anusia, najstarsza córka, była wówczas kołą czternastoletnią. W ciągu ostatnich lat życia matki była ona jedyną jej powiernicą, ucieczką i wspomnieniem. Nic też dziwnego, że wzięła po niej cały spadek duchowy. Już w klasie trzeciej panna Anna wiedziała, jakich to pociech dostarcza przymusowa religia i co znaczy miłować ucisk, czcić niedole, które on sprawił. Wiedziała, że nigdy nie wyjdzie za mąż, bo czyby poszła za Rosjanina, czy za Polaka – zawsze ją czekał los matki. Sama nie żywiąc żadnych wspomnień rosyjskich, chowana wśród ciągłych gwałtów sumienia, między nienawiścią a umiłowaniem na śmierć

²¹⁸ „... wypowiedziała własnej nacji wojnę scytyjską...” – wypowiedziała własnemu narodowi okrutną wojnę (w przenośni).

²¹⁹ *reminiscencja* – wspomnienie.







SPIS TREŚCI

I.....	5
II.....	20
III.....	35
IV.....	49
V.....	61
VI.....	71
VII.....	77
VIII.....	82
IX.....	90
X.....	95
XI.....	108
XII.....	116
XIII.....	139
XIV.....	152
XV.....	159
XVI.....	165
XVII.....	174
XVIII.....	183







Borowicz zakochał się w pannie Annie przy końcu zimy. W dzień mroźny i śniegowy szedł w stronę gimnazjum i spotkał panienkę zdążającą do cerkwi. (...) Skręcił na miejscu i włókł się za nią. „Biruta” szła wolnym krokiem. Śnieżynki lekkie jak puch płynęły w powietrzu i krążyły dokoła tej głowy ubranej w barankową czapkę. Jedne z nich siadały potajemnie na promieniach jasnych włosów wymykających się spod czapki, inne obcesowo pędziły do ust różowych i za tę śmiałość świętokradzką skonały w gorącym oddechu, jeszcze inne czepiając się brwi i długich rzęs zaglądały w smutne oczy. Borowicz raz tylko w nie spojrział i wnet zleciało na niego jakby wśród widnego dnia wypadające zaćmienie słońca. Te duże lazurowe źrenice, co udzielały nawet białkom nikłej półbarwy błękitu, wcieliły się w jego duszę...

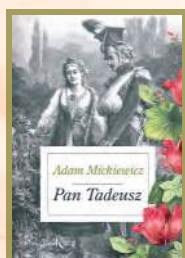


Skompletuj całą serię Kolorowa Klasyka:

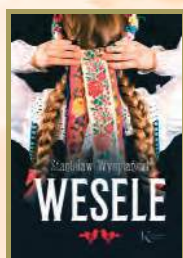
Ziele na kraterze



Pan Tadeusz



Wesele



Przedwiośnie



Chłopi



i inne tytuły.

ISBN 978-83-7517-883-8



Kolorowa
Klasyka

ul. Klasztorna 2B, 31-979 Kraków
www.greg.pl